

Krzysztof Adamski

MASKI



Maski

MASKI

Krzysztof Adamski, Swarzędz 2013

I

1.

Nowa Anglia, Ziemia, AD1973

- Tato!!! Taaato! – przerażona Maggie stała na środku swojej sypialni i z całych sił w płucach wzywała ojca. – Tato! – Skrzywienie podłogi oraz dźwięk dudniących na schodach ciężkich kroków odrobinę ją uspokoił. Kiedy w drzwiach pokoju ukazała się znajoma sylwetka ojca, strach dziecka zdążył już niemal całkowicie zniknąć.

- Skarbie? Co się stało? – Dziewczynka momentalnie wtuliła się w przykucniętego rodzica, napawając się poczuciem bezpieczeństwa, jakie dawał jej ojciec. – Już dobrze Meggs, to był tylko zły sen.

- Tatusiu, tam jest Potwór! – Dziecko głową wskazało okno. – Widziałam go na polu za bramą... - Mężczyzna ze zrozumieniem pokiwał głową i wzięwszy córkę na ręce, przeniósł ją na łóżko.

- Nie martw się, już sobie na pewno poszedł. Jeżeli jeszcze raz tu przyjdzie, to na pewno Ringo i Zoe nie pozwolą mu cię skrzywdzić. Jak chcesz to jutro rano pójdziemy z nimi poszukać jego śladów, może być?

- Ale to jest Potwór... - Dziewczynka nadal nie była przekonana. – Jest taki duży...

- Nie martw się już, idź spać. Widzimy się rano.

- Kocham cię, tatusiu.

- Ja ciebie też, skarbie, dobranoc.

Mężczyzna jeszcze przez chwilę gładził córkę po głowie, a gdy był już przekonany, że ta zasnęła, po cichu wy-

mknął się z sypialni. Kiedy kroki na schodach w końcu ucichły, dziewczynka otworzyła oczy i podkraśla się do okna. Ciekawość w ostatecznie wzięła górę nad strachem i po chwili wahania, Maggie zdecydowała się ponownie wyjrzeć na zewnątrz.

Potwora nie było już na polu. Stał teraz tuż przed bramą i rozglądał się dookoła. Dziewczynka zanurkowała pod parapet, kiedy Potwór omiótł spojrzeniem ich dom. Przez chwilę trwała w bezruchu, starając się nawet nie odychać. Gdy ostrożnie wychyliła głowę ponad parapet, Potwór nadal wpatrywał się w jej okno. Maggie była pewna, że ją widział. Jego oczy były takie wielkie i dziwne, ale jakby trochę mniej przerażające niż reszta jego ciała. Dziewczynka bezwiednie przycisnęła dłoń do szyby, na co ku jej zaskoczeniu, Potwór zareagował unosząc dłoń w geście pozdrowienia. Po chwili obrócił się i pobiegł w kierunku lasu.

*

Hirr'sa musiał się pospieszyć. Niepotrzebnie zmarnował tyle czasu, tylko po to by potwierdzić swoje pierwsze podejrzenia. Tego zapachu nie dało się pomylić z żadnym innym. Wróg już tu był, a im dłużej on sam miotał się poza lasem, tym bardziej ryzykował, że zostanie przez niego odkryty. Musiał ostrzec resztę, musiał ostrzec Arr'at.

Oferująca poczucie bezpieczeństwa ściana lasu była już coraz bliżej, jednak myśliwy zatrzymał się na moment, wiedziony kolejnym złym przeczuciem. Przypadł do ziemi dokładnie w momencie, gdy od strony rosnącej nad brzegiem strumienia kępy krzaków dobiegł ledwo słyszalny, cichy trzask. Po pierwszym wystrzale nastąpiły kolejne, jed-

nak Hirr'sa był zbyt szybki by pozwolić się trafić ukrytemu napastnikowi. Z każdą chwilą zmniejszał dystans do kryjówki wroga, ostrzem toporka odbijając te pociski, których nie byłby w stanie uniknąć.

- Pokaż się tchórz! – wykrzyczał, gdy był już zaledwie kilka kroków od kępy roślin.

Przeciwnik najwyraźniej uznał, że dotychczasową taktyką nic wskóra, gdyż po chwili krzaki poruszyły się, ukazując sylwetkę znieawidzonego wroga.

- Nie nazywaj mnie tchórzem, zdrajco! – Napastnik nie czekając na odpowiedź rzucił się w stronę Hirr'sa, tnąc powietrze ostrzem długiego noża.

Już po pierwszym starciu Hirr'sa musiał przyznać, że intruz przewyższa go sprawnością i wyszkoleniem. Gdyby nie ostrzegawcze szepty w jego głowie, ostrze zwiadowcy już dawno by go dosięgło, podczas gdy on sam nie był nawet bliski zranienia przeciwnika. Świadomemu beznadziei swojego położenia myśliwemu pozostało tylko spróbować odciągnąć wroga od lasu i zmniejszyć tym samym szanse, że ten odkryje drogę do ich siedziby.

- Nie rozśmieszaj mnie! – Widząc rozpaczliwy zryw przeciwnika, zwiadowca od razu zrozumiał, co ten próbuje osiągnąć. – Tutaj wszędzie unosi się smród zdrajców! Ledwo można oddychać! Twoi towarzysze pewnie już i tak nie żyją, więc oszczędź mi trudu i poddaj się. Zabiję cię szybko, obiecuję. – to powiedziawszy, odskoczył do tyłu i opuścił ręce.

- Kłamiesz! - Hirr'sa rzucił się w jego kierunku, desperacko próbując dosięgnąć wroga ostrzem toporka. Jednak ten tylko na to czekał – wolną ręką błyskawicznie przechwycił oręż napastnika, podczas gdy nóż bezlitośnie zagłę-

bił się w boku Hirr'sa. Po chwili zawiadowca obalił go na plecy i przytknął ostrze do jego szyi.

- Tak kończą wszyscy zdrajcy! Może wam się wydawać, że uciekliście, ale prędzej czy później was znajdziemy. – Przez ból i wściekły syk przeciwnika przedzierał się inny dźwięk - w głowie Hirr'sa brzmiał ogłuszający krzyk, karzący mu podjąć jeden, ostatni wysiłek. Zebrawszy resztki powoli opuszczających go sił, myśliwy uderzył czołem w pochylony nad nim łeb wroga. Ten zaskoczony odskoczył, dając Hirr'sa okazję by podnieść się z ziemi.

- Jak wolisz, zrobimy to po twojemu. – Zwiadowca zdawał się już nie tyle wściekły, co rozbawiony. – Sam tego chciałeś. – W jego dłoni pojawił się pistolet, który teraz celował prosto w głowę ślaniającego się na nogach Hirr'sa.

Huk wystrzału zaskoczył myśliwego, tak samo jak widok dwóch wielkich, krwawych dziur, które pojawiły się na piersi walącego się na ziemię przeciwnika. Dopiero po chwili ujrzał leżące parę metrów dalej dziecko Merhot. Podeszedł bliżej chcąc upewnić się, że nic mu nie jest. Początkowo myśliwy sądził, że odrzut broni, leżącej teraz na ziemi, tylko ogłuszył dziewczynkę, jednak zmienił zdanie na widok jej bezwładnie zwisającej ręki.

- P... Panie Potworze... Niech pan ucieka... - Szept dziecka uświadomił mu jak mało zostało mu czasu. Hirr'sa przez chwilę walczył z myślami, na przemian spoglądając w kierunku lasu i ciągle jeszcze widocznego domostwa Merhot. W końcu podjął decyzję. Wziął dziecko na ręce i ignorując brzące w głowie protesty, ruszył w stronę zabudowań.

Prawie się udało. Hurr'sa przemknął pomiędzy budynkami i był już gotów zostawić ciągle jeszcze nieprzytomne dziecko na progu domu, gdy niespodziewanie wiatr zmienił kierunek. Zwierzęta Merhot momentalnie zwietrzyły zapach intruza i wściekłym ujadaniem obudziły gospodarzy. Wciąż osłabiony walką, myśliwy nie zdążył zareagować, gdy drzwi budynku otworzyły się z trzaskiem, ukazując barczystą sylwetkę uzbrojonego Merh.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy, ale masz minutę żeby się stąd wynieść. – Mężczyzna zaakcentował swoje słowa trzaskiem przeładowywanej strzelby. – Mary, przynieś latarkę i obudź chłopaków! – Zmrużone oczy Merh najwyraźniej nie przywykły jeszcze do panującej na zewnątrz ciemności, dlatego Hurr'sa wykorzystał tę okazję by ostrożnie położyć dziecko na ziemi.

- Powiedziałem już, wynoś się z mojej ziemi! – W tym momencie, padający z wnętrza domu snop światła oświetlił wycofującego się powoli myśliwego.

- Chryste... Czym ty do cholery jesteś...? - Oniemiały mężczyzna przez chwilę wpatrywał się w uciekającego intruza.

- Sam!!! – Przerażony krzyk żony oraz widok zawiątki leżącego na ziemi obok wyrwał, go z zamyślenia.

- Sam, to Maggie! Co on zrobił naszej córce!?

*

Wściekły na siebie samego, Hurr'sa przykucnął w zagłębieniu ziemi by przemyśleć dalszy plan działania. Bez problemu mógłby uciec pogoni, jednak istniało ryzyko, że

Maski

rozwścieczeni Merhot nie odpuszczą tak łatwo, a psy mogłyby przypadkiem podchwycić jego trop i zaprowadzić ich do kryjówki. Nie mógł sobie pozwolić na taką lekkomyślność, zwłaszcza w obliczu odkrytego niedawno niebezpieczeństwa. Zbliżające się coraz bardziej okrzyki Merhot i ujadanie ich zwierząt pomogło mu podjąć ostateczną decyzję. Poderwał się na nogi i zakosami pognął w kierunku miejsca swojej niedawnej walki ze zwiadowcą Ner'setra. Huk wystrzałów i gwizd przelatujących niegroźnie obok pocisków Merhot oznaczał, że złapali oni przynętę.

Chwilę później Hirr'sa był już na miejscu. Z pewną ulgą spostrzegł, że ciało wroga znajduje się tam gdzie je zostawił. Szczęśliwie postrzał okazał się być śmiertelny i oszczędził mu tym samym nieprzyjemnej konieczności dobijania przeciwnika. Słyszając, że pogoń jest już bardzo blisko, myśliwy na moment wyprostował się i wystawił na strzał Merhot. Na ich reakcję nie musiał długo czekać – kanonada, która rozpętała się po chwili była o tyle głośna, co nieskuteczna. Myśliwy ponownie przypadł do ziemi, by pospiesznie odczołgać się w kierunku strumienia. Chwilę później biegł już jego korytem, korzystając z osłony, jaką oferowała stroma skarpa na jego brzegu. Wyglądało na to, że jego fortel zadziałał, gdyż nim zagłębił się w las, jego uszu dobiegły jeszcze okrzyki Merhot triumfujących nad ciałem zwiadowcy.

*

- Dziękuję, za to, że tak szybko przybyłeś Czerwony Ptaku. – Arr'at położyła dłoń na piersi stojącego przed nią

Maski

Merh. – Obawiam się, że tym razem to my musimy prosić ciebie o pomoc.

- Arr'at, przez setki lat twój lud pomagał mojemu, o cokolwiek poprosisz, i tak nie będziemy w stanie spłacić tego długu. – Arr'at uśmiechnęła się smutno słysząc słowa starego wodza.

- Przyjacielu, wygląda na to, że nasze drogi muszą się w końcu rozdzielić. Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale obawiam się, że musimy opuścić wasz świat...

- Wasi wrogowie..?

- Nasi wrogowie, nasi bracia... Wiem, co chcesz powiedzieć, ale walka nie wchodzi w grę, pochłonęłaby zbyt wiele ofiar. Musimy uciekać, zanim wasza planeta zapłaci zbyt dużą cenę za swoją gościnność.

- Duchy mówią, że i tak nie uciekniecie przed przeznaczeniem, ale rozumiem, że chcecie spróbować. Powiedz, czego potrzebujesz?

- Najpóźniej jutro w nocy musimy się dostać na wybrzeże, tam będzie na nas czekał Ka'settra.

- Ciężarówka będą gotowe jeszcze przed świtem, coś jeszcze?

- To wszystko, stary przyjacielu, to i tak więcej niż śmiemy prosić. Dziękuję. – Arr'at położyła czule dłoń na ramieniu wodza, który również odwzajemnił ten gest.

- Pomogliście nam przetrwać najczarniejsze godziny, teraz nasza kolej. To ja dziękuję, nigdy nie znikniecie z naszej pamięci, przetrwacie w opowieściach mojego ludu. Niech duchy was prowadzą i pomogą wam wreszcie znaleźć dom.

Maski

Przez chwilę trwali jeszcze w milczeniu, aż w końcu stary mężczyzna otarł wilgotne oczy i bez słowa zniknął pomiędzy drzewami.

- Dom? - Hirr'sa podszedł do wciąż zamyślanej Arr'at
- Ile razy jeszcze będziemy musieli uciekać?
- Nie wiem synu... Nie mam pojęcia...

2.

Lete

System Lete, Rubież, AD2937

- Nienawidzę tego cholernego zadupia! - Simms szerokim gestem wskazał powierzchnię planety, na której aktualnie się znajdował.

- Powtarzasz to codziennie, wyluzuj wreszcie. – znużony głos sierżanta Burnsa doskonale odzwierciedlał nastroje wszystkich żołnierzy stacjonującej na Lete. – Źle ci, kiedy wilkołaki grzeją do nas ze wszystkiego, co mają, marudzisz jak nam trochę odpuszczają. Mógłbyś się w końcu zdecydować.

- To nie o to chodzi, sierżancie.

- Oświeć nas w takim razie. – Dyskusja, będąca miłą odmianą od beczynności panującej od kilku dni na linii frontu, skupiła uwagę pozostałych żołnierzy.

- To wszystko jest bez sensu!

- Tak też myślałem... Sim, przebiegnij się może do bazy i przynieś nam trochę fajek. Postaraj się wrócić w ciągu dwudziestu minut, inaczej dostaniesz karną nocną wartę. – W normalnych warunkach pokonanie tego odcinka w obie strony biegiem zajmowało pół godziny, tym samym polece-

nie automatycznie skazywało siejącego defetyzm żołnierza na karę.

- Pieprzę to... Panie sierżancie. Mogę mieć wszystkie nocki, zresztą ile ich nam tu jeszcze zostało? Greg?

- Dwie, góra trzy noce zanim zacznie padać. – Gregori Tchaikovsky, jako jeden z nielicznych żołnierzy pochodził z Lete, dlatego klimat tej jałowej planety nie stanowił dla niego żadnej tajemnicy. – Świetliki zaczęły już swój ostatni taniec. – To powiedziawszy, żołnierz wskazał na unoszącą się ponad ich głowami zorzę.

- No właśnie! Rozumiem, że pieprzeni Ner'setrra blokują systemy sąsiadujące z Perunem by odciąć nas od żarcia oraz by, po przybyciu reszty ich floty, od razu dobrać się do swoich krewniaków na Trójce. – Sierżant kiwnął tylko głową, potwierdzając poprawność rozumowania żołnierza. - W takim razie nie bardzo łapię, jak na obecną sytuację ma wpłynąć nasza obecność na tym, wybacz Greg, zapomnianym przez ludzi zadupiu? Jesteśmy tu już prawie pół roku i jedynie, co robimy to na przemian ostrzeliwujemy się z siedzącymi po drugiej wilkołakami! I żeby to jeszcze była jakaś poważna wymiana ognia! Gdzie tam! Jedyne ofiary po naszej stronie to stary Doyle, który sam się postrzelił. Podejrzewam, że straty po drugiej stronie są równie drastyczne!

- Simms, mam nadzieję, że naprawdę do czegoś zmierzasz, bo coś mi mówi, że tym razem bez karnej kompanii się nie obejdzie. – Mimo poważnych słów, sierżant zdawał się autentycznie rozbawiony wywoodem żołnierza.

- Już kończę, panie sierżancie. – Szeregowiec zapalił jakimś cudem zachowanego papierosa i upewniwszy się, że wszyscy go słuchają, ciągnął dalej. – Rozumiem, że ani my, ani oni nie mamy sił wystarczających by wywalczyć prze-

wagę na powierzchni którejkolwiek Planety Niczyjej lub w kosmosie. Ale z każdym dniem, który tutaj marnujemy, przybycie reszty Armady staje coraz bliższe. Słyszeliście przecież, za dwa dni cała planeta zmieni się w jedno, wielkie błotniste bagno, skutecznie uniemożliwiając zarówno nam jak i tamtym jakiegokolwiek działania bojowe. Super, nikt już nie zginie, hura! Szkoda tylko, że kiedy za kolejne pięć miesięcy przestanie już padać, na orbicie może już na nas czekać cała Armada uroczo uśmiechniętych wilkołaków! Tak więc, panie sierżancie, proszę wyjaśnić nam, na co my jeszcze czekamy? Albo powinniśmy się stąd zmyć i przenieść gdzieś, gdzie nasza obecność może się na coś przydać, albo wziąć się w końcu do roboty i rozwalić tych skurwiele! – Pozostali żołnierze przytaknęli pyskatemu koledze i wlepili pytające spojrzenia w dowódcę.

- Właśnie robimy to drugie. – spokojnie odparł sierżant Burns, tajemniczo się uśmiechając i zaciągając zabranym Simmsowi papierosem. – Czekamy tylko na posiłki.

- Oczywiście, że czekamy! Już od pół roku czekamy i co? Dostaliśmy pięć solfug i dwa kraby! Pewnie z beczynności już dawno się rozpadły.

- Podobno mają przysłać Archona... - Wtrąciła milcząca dotąd szeregową Valdez, wywołując rozbawione sarknięcia pozostałych towarzyszy broni.

- Daj spokój Val, chyba nie wierzysz w te bzdury o Archonie? Nie ma i nigdy go nie było, prawda sierżancie?

- Prawda Sim, żaden z naszych nanopatów nie przeżył bitwy pod Bastionem. To więdźmy Ner'baserra wezwały do walki tamte wszystkie zwierzęta.

- Ale Platfus Harper był tam i mówił, że widział jak...

- Harper stanowczo za dużo mówi i za dużo pije, nie znajdziesz w jego opowieściach ani ziarna prawdy. – Sierżant ostro uciął dalszą dyskusję, jednoznacznie oznajmiając, że temat uważa za zamknięty. Wszyscy żołnierze pograżyli się w ponurym milczeniu, w tym również sam dowódca.

Wbrew swoim słowom, sierżant Burns wiedział, o czym chciała powiedzieć Valdez. W przeciwieństwie do tych dzieciaków, był drwalem, walczył pod Bastionem i na własne oczy widział coś, co mogło świadczyć, że słowa Platfusa w tej kwestii nie do końca mijały się z prawdą.

Pamiętał jak tuż po bitwie, wraz z kilkoma innymi drwalami uczestniczył w akcji ratunkowej załogi przewróconego tanka. Większość żołnierzy udało się wydobyć z wnętrza wraku, jednak kilku poważnie rannych nie byli w stanie wyciągnąć. Jak na złość w pobliżu nie było żadnego sprzętu inżynierskiego, dlatego jedynym, co mieli do dyspozycji były dźwignie, kołowrotki i liny. Aż do momentu, gdy pojawił się ten chłopak. Wysoki, chudy - wyglądał jakby się zgubił. Toczył błędnym wzorkiem po pobojowisku, ciągle mamrocząc coś pod nosem. Stał z boku i przyglądał się ich żalonym wysiłkom. Z początku wszyscy go zignorowali, przynajmniej do chwili, gdy z lasu wytoczył się kong. Ludzie zaczęli uciekać, tylko ten chłopak dalej tkwił w miejscu. Burns pamiętał, że obrócił się w biegu i, ku swojemu zaskoczeniu, zobaczył jak małpa próbuje postawić maszynę do pionu. Tank okazał jednak zbyt ciężki nawet dla niej. Zarówno sierżant jak i kilku innych drwali zatrzymało się by w zdumieniu oglądać tę niezwykłą scenę, jednak dopiero to, co zobaczyli chwilę później oszołomiło ich najbardziej.

Z przeciwnej strony lasu wytoczyła się druga małpa. Ponownie wśród drwali zapanowała panika – spodziewali się, że samce rzucają się sobie do gardeł, niszcząc wszystko, co stanie na ich drodze. Sierżant Burns pamiętał jak ze zdumienia przecierał oczy na widok dwóch wielkich samców, które bez najmniejszego warknięcia, ramię w ramię postawiły pojazd na gąsienice. Chłopak stał między nimi, nie dalej niż kilka kroków, a nawet nie spojrzał w ich kierunku. Pięć minut później obie małpy wróciły do lasu, każda w swoją stronę, nie zaszczycając potencjalnego konkurenta nawet przelotnym spojrzeniem. Chłopak potem gdzieś zniknął, a sztab uciał wszelkie spekulacje na ten temat informacją, że to szamanki Ner'baserra posiadają dar władzy nad zwierzętami.

Wersja oficjalna, wersją oficjalną, ale za sprawą plotkarzy pokroju Harpera, historia ta stała się podłożem koszarowej legendy o Archonie - cudem ocalałym, niezwykle potężnym nanopacie.

-Sierżancie...? –Dowódca dopiero po chwili zorientował się, że Simms go znowu o coś pyta. - To co z tymi posiłkami?

- Jutro mamy dostać wsparcie. Pułk drwali, kilka plutonów kawalerii i Ner'baserra. Z samego rana szturmujemy Bazę 2 z zadaniem zniszczenia baterii planetarnych, to umożliwi lądowanie reszty posiłków. Jeżeli wszystko się uda, następnej nocy atakujemy Bazę 1. Zadowolony, Sim?

- Cholernie... Panie sierżancie.

- To dobrze, masz dwadzieścia minut żeby wrócić z fajkami.

Po porażce pod Bastionem, najeźdźcy zdecydowanie zmienili swoją dotychczas skuteczną taktykę. Zamiast próbować w walnej bitwie zniszczyć wszystkie siły Sojuszu Rubieży, postanowili wziąć przeciwnika na przetrzymanie. Obrońcy Rubieży zadali Ner'settra tak dotkliwe straty, że kolejne, znacznie szczuplejsze siły inwazyjne, które w następnych miesiącach przybyły do sektora, nie ryzykowały otwartej konfrontacji. Do podjęcia tej decyzji bardzo przyczyniła się również Vespera, która otwarcie zaczęła kolaborować z najeźdźcami. Korzyści płynące z tej współpracy dla Ner'settra było wiele - od dostarczenia najważniejszych informacji na temat Rubieży, po wsparcie wroga sprzętem i siłami nanopatów włącznie. Skutecznie pozbawiło to obrońców sektora największej przewagi, jaką był element zaskoczenia oraz mieszanina ignorancji i arogancji przeciwnika.

Ner'settra zaczęli sukcesywnie zaciskać pętlę wokół ważniejszych planet sektora, okupując przylegające do nich Systemy Niczyje. Wzmocniony przez zdobyczną obcą technologię, Sojusz zmuszony został do rozdzielenia swoich sił, za wszelką cenę próbując wyprzeć wroga z uchwyconych przez niego przyczółków. Żadna ze stron nie była w stanie wywalczyć trwałej przewagi, jednak chwilowy impas działał wyłącznie na korzyść najeźdźców - widmo zbliżającej się Armady kładło się długim cieniem na morale osaczonych w sektorze ludzi.

Taką właśnie planetą była Lete. Pozbawiona jakichkolwiek bogactw naturalnych, została zaledwie w minimalnym stopniu skolonizowana przez Holding Hudsona. Nieliczni osadnicy korporacji przez długie lata z marnym skut-

kiem próbowali przekształcić powierzchnię planety w obszar uprawy roślin jadalnych. Przedsięwzięciu temu nie sprzyjał klimat planety, na której przez prawie pół roku padały ulewne deszcze, a przez jego resztę panowała susza. Te niekorzystne dla ludzi warunki, czyniły z Lete idealną bazę wypadową dla sił Ner'settra, skutecznie zagrażając transportom żywności Holdingu, a tym samym przetrwaniu wszystkich mieszkańców Rubieży. To właśnie dlatego, tej nocy garnizon złożony głównie z ochotników i nielicznych drwali miał otrzymać wymarzone posiłki i spróbować wyprzeć wroga z powierzchni planety.

*

- Trzęsiesz się, Val...

- Spadaj, Sim, zimno jest – Wbrew swoim zapewnieniom, Maria Valdez bała się tego, co miało wkrótce nastąpić. W bladym świetle wstającego powoli dnia mogła już dostrzec kontury odległej o kilka kilometrów bazy wroga. Tuż za ich posterunkiem, technicy kończyli przygotowywać pojazdy do mającej się wkrótce rozpocząć bitwy. Wbrew obawom Simmsa, zarówno transporterzy i ciężarówki, jak również kilkanaście solfug i pięć ciężkich krabów wydawało się być w całkiem dobrym stanie.

- Mówiłam serio z tym Archonem, podobno od jakiegoś czasu jest już na planecie. Myślisz, że to przypadek, że od kilku dni nas nie ostrzeliwiają?

- Ty znowu swoje! Skończ z tymi bzdurami, tylko niepotrzebnie robisz sobie nadzieję! Nikt nam nie pomoże, musimy liczyć tylko na siebie!

Maski

- Wal się, Simms, daj jej spokój. – Przydzielony do ich oddziału Lucas Harper wziął stronę dziewczyny.

- A ty się w ogóle, Platfus, zamknij! Wszyscy rzygają już tymi twoimi bajeczkami, dziwię się, że nie trafiłeś jeszcze do karnej kompanii.

- Stul pysk, dzieciaku, szczałeś jeszcze w gacie, kiedy ja narażałem dupę pod Bastionem! Wiem co widziałem i nikt nie wmówi mi, że było inaczej!

- Wy dwaj, mordy w kubek! – Dyskusję, niechybnie zmierzającą w kierunku bójki, przerwało pojawienie się sierżanta Burnsa. – Za dziesięć minut zaczynamy. Upewnię się, byście obaj poszli na pierwszy ogień!

- Ale, panie sierżancie, oni...

- Ruch na perymetrze! – Meldunek obserwatora momentalnie przycisnął wszystkich żołnierzy do lornetek i przyrządów celowniczych karabinów.

- Kurwa, co to za jeden...?

- Mówiłem wa...

- Zamknij się, Platfus!!!

Nikt nie zarejestrował skąd na przedpolu pojawiła się zakapturzona postać, która spokojnym krokiem zmierzała w kierunku bazy obcych. Samotny człowiek - bo budowa ciała przybysza wskazywała, że nie jest to ani Ner, ani tym bardziej Inefarri, był już prawie w połowie odległości dzielącej obóz ludzi i Ner'setra. Nieznajomy zdawał się nic sobie nie robić z niebezpieczeństwa, do którego zbliżał go każdy krok postawionym na spękanej powierzchni planety. Nie wykonywał żadnych zbędnych ruchów, po prostu szedł jak na spotkanie ze starym przyjacielem. Oprócz, najwyraźniej samobójczych zamiarów, kolejną rzeczą, jaka rzuciła się w oczy obserwującym go żołnierzom, było wyraźne drganie

otaczającego go powietrza. Z daleka wyglądało to jakby dziwnego przybysza bez przerwy owiewały poddmuchy potwornie rozgrzanego wiatru.

- ...Archon. – Spierzchniętymi wargami wyszeptała Valdez. Sekundę później nad linią umocnień ludzi zawyła syrena alarmu bojowego.

*

Do fortyfikacji Ner'settra został już tylko niecały kilometr. Vincent miał nadzieję, że lamie, które od kilkunastu dni niepostrzeżenie osuszały generatory i baterie zasilające ciężki sprzęt najeźdźców, skutecznie uniemożliwią wrogowi użycie broni energetycznej. Widział, słyszał i czuł zamieszanie, jakie zapanowało na terenie bazy nieprzyjaciela, nie był tylko pewien czy spowodował je nagły ruch na pozycjach ludzi czy też wroga w końcu zaniepokoiła jego obecność. Nie było to zresztą już teraz ważne, za chwilę Ner'settra mieli się przekonać, kogo powinni tak naprawdę się bać.

- Gotowy?

- Jakbym miał jakiś wybór? Miejmy to już za sobą i nie daj się zabić, dzieciaku. – Vincent zdążył się już przyzwyczaić do myśli obcej istoty uciążliwie brzęczących w jego głowie.

- No to zaczynamy. – Pierwsze pociski wroga, wyraźnie przeznaczone dla niego, minęły go i nieszkodliwie eksplodowały w bezpiecznej odległości. Vincent nie miał już żadnych wątpliwości, że Ner'settra wreszcie go dostrzegli. Mężczyzna zatrzymał się i zdjąwszy kaptur z głowy, ukazał twarz, pomalowaną w dziwne czarne znaki. W tym momen-

cie powietrze wokół niego jeszcze bardziej zgęstniało. Wirujące wokół miliardy owadów miały tylko jeden cel – chronić go przed ogniem wroga, odchylając tor pocisków, lub detonując je zanim zbliżyły się do nanopaty. Vincent spojrzał jeszcze przez ramię na mknące wśród chmury pyłu i błysków eksplozji oddziały Sojuszu. Mając pewność, że wystarczająco skupił na sobie uwagę żołnierzy po obu stronach, rozpoczął najważniejszą część swojego zadania.

Jego umysł, w każdej sekundzie odbierający tysiące bodźców od zgromadzonych wokół zwierząt, skupił się na jego największym sojuszniku. Ukryta kilkanaście metrów pod zaschniętą gliniana skorupą, bezimienna bestia rozprostowała swoje monstrualne cielsko. Jej gwałtowny ruch spowodował rozpęknięcie się ziemi w miejscu, gdzie stworzenie zbliżyło się do powierzchni planety. Kilka sekund później, długi na kilkadziesiąt metrów wał spiętrzonego błota i skał, pędził już kierunku bazy wroga. Ner'settra momentalnie zapomnieli o jakimś cudem wciąż nietkniętym i ponownie idącym w ich stronę Vincencie oraz o zbliżających się wojskach ludzi. Najeźdźcy skoncentrowali cały ogień na nowym, bezpośrednim niebezpieczeństwie. Artyleria oraz broń ciężka obcych za wszelką cenę próbowała powstrzymać niezidentyfikowane, ale wyraźnie wrogie im zwierzę. Jednak zmasowany ostrzał nie był w stanie wyrządzić jakiegokolwiek krzywdy Bezimiennemu, który nawet nie zwalniając, wbił się w pierwszą linię umocnień wroga. Wielotonowe fragmenty fortyfikacji wyleciały w powietrze na kilkanaście metrów, by po chwili runąć na ziemię, grzebiąc pod sobą dziesiątki zaskoczonych żołnierzy. Będąc już wewnątrz właściwej bazy Ner'settra, potwór rozpoczął prawdziwe dzieło zniszczenia. Budynki, oparte na wkopanych kilkanaście me-

trów w ziemię hydraulicznych wspornikach, pozbawione podpory zaczęły walić się jak domki z kart lub osuwać w głąb powstałej po przejściu Bezimiennego czeluści. W ciągu kilkadziesiąt sekund ogień Ner'settra niemal całkowicie zamilkł, pozwalając wojskom Sojuszu bez przeszkód dotrzeć do miejsca gdzie do niedawna znajdowały się umocnienia wroga.

Zadowolony ze swojego dzieła, Vincent obserwował jak żołnierze rozstawiają stanowiska ogniowe wokół niemal całkowicie przysłoniętej przez chmurę pyłu bazy obcych, w której wnętrzu nadal szalał Bezimienny. Dopiero po chwili do jego uszu dotarł huk silników lądujących w pobliżu statków.

W przeciwieństwie do zbieraniny niedoszkołonych i z pozoru przypadkowo uzbrojonych rekrutów, po żołnierzach, którzy wysypali się z lądowników od razu dało się poznać zaprawionych w bojach weteranów. Pierwsza na polu bitwy pojawiła się kawaleria. Kilkadziesiąt solfug i innych lekkich pojazdów błyskawicznie wzmocniło cienki pierścień ochotników, równocześnie osłaniając desant pozostałych oddziałów. Objuczeni ciężkim sprzętem drwale potrzebowali więcej czasu by zająć swoje pozycje, jednak nawet na Vincencie widok wspieranej przez kraby, ciężkiej piechoty Sojuszu zrobił wielkie wrażenie. Tym bardziej, że pierwszy raz miał okazję przyjrzeć się owianym sławą krabom. Te opancerzone maszyny bojowe, będące wynikiem połączenia doświadczenia JMC w konstrukcji solfug, oraz introwertycznego geniuszu Ineffari, potrafiły nawet w małej liczbie zaważyć na losach każdej bitwy. Masywne kadłuby pancernych potworów wyglądały niczym żywe skamienielińy rozrzucone pomiędzy mniejszymi pojazdami Sojuszu.